George S. Patton

WOJNA

JAK JĄ POZNAŁEM

George S.
Patton

Wojna
jak ją poznałem

Przekład
Emilia Niemirska

ESPADON PUBLISHING
WARSZAWA 2020

Wstęp

Generał George S. Patton jr prowadził od lipca 1942 roku do 5 grudnia 1945 roku (cztery dni przed swym tragicznym wypadkiem) szczegółowy dziennik. Wydarzenia wojenne notował na gorąco. Notatki te są zawsze szczere, częstokroć krytyczne, a czasem zjadliwe, choć nigdy zacietrzewione w tym sensie, żeby miały potępiać każdego, kto się z nim nie zgadzał. Dziennik odzwierciedla ducha dowódcy, który wierzył, że nieprzerwane, śmiałe natarcie pozwoli położyć kres wojnie, zanim śniegi pokryją Ardeny w zimie roku 1944 na 1945. Wszystko, co stanęłoby takiej ofensywie na przeszkodzie, musiało zostać przezwyciężone, a od każdego dowódcy przeciwstawiającego się tej koncepcji należało żądać wykazania przyczyn, z których natarcie miałoby się nie udać. Zachowanie milczenia lub rozbieżności z jego poglądem były w oczach Pattona wyrazem nadmiernej ostrożności albo ustępstwem na rzecz sojuszników.

Ta dominująca w dzienniku generała Pattona nuta jest tak niewątpliwa i tak wyraźnie patriotyczna, że nie może być źle zrozumiana przez historyków. Ponieważ jednak generał Patton posługiwał się słowami, podobnie jak ogniem na polu walki, dla szybkiego osiągnięcia decydujących wyników, w dzienniku swym powiedział wiele rzeczy mogących zranić uczucia ludzi, których oddania i zdolności nigdy nie podałby w wątpliwość. Dziennik zawiera niejedno gorzkie słowo pod adresem przywódców, których Patton ostro i, swoim zdaniem, słusznie krytykował. Gdy jednak ci sami ludzie byli niesprawiedliwie traktowani lub potępiani przez innych w wypadkach, kiedy Patton uważał ich postępowanie za słuszne, natychmiast stawał w ich obronie. Wszystkie te sprawy zarysują się wyraźnie z perspektywy czasu, na razie jednak autorzy wojskowi, których rady zasięgała pani Patton w sprawie wydania dziennika z lat 1942-1945, podzielali jej zdanie, że nie powinno się go publikować.

Taka decyzja przyniosłaby szkodę badaniom nad kampanią w Zachodniej Europie w latach 1944-1945, gdyby generał Patton nie napisał książki „Wojna – jak ją poznałem". Pracę nad nią podjął po zakończeniu działań wojennych, czerpiąc szczegółowe dane ze swego dziennika. Niektóre strony są prawie dosłownie przepisane. Generał złagodził tylko lub zupełnie usunął sprawy o zabarwieniu personalnym. Ponieważ wyboru dokonał osobiście, możliwość włączenia do książki dodatkowych fragmentów wymagała zastanowienia. Chodziło zwłaszcza o relację z bitwy o „wybrzuszenie", potraktowanej w dzienniku o wiele szerzej niż w książce. Doświadczenie wykazało, że zamieszczenie pominiętych przez niego ustępów mogłoby czytelnika wprowadzić w błąd, a wydrukowanie ich w pełnym brzmieniu byłoby właśnie tym, czego nie chciał uczynić generał Patton, kiedy pisał swą książkę mając dziennik przed sobą na biurku.

Tekst wydrukowanej książki jest więc taki, jaki wyszedł spod ostrego pióra generała; opuszczono jedynie krytyczne słowa pod adresem pewnego oficera, który, jeśli popełnił błędy, to całkowicie za nie odpokutował. Incydent ten nie miał wielkiego znaczenia, jeśli chodzi o działania 3. Armii, a tym bardziej o przebieg kampanii. Poza tym mogę zapewnić czytelnika, że dokładne porównanie obu tekstów wykazało, iż ze spraw odnoszących się do planowania i przebiegu kampanii dziennik nie zawiera nic, czego generał nie zamieścił w tej książce. Czytelnik traci tylko ostry „posmak" narracji pamiętnikarskiej, badacz jednak może być pewny, że gdyby wydrukowano pisany dzień po dniu dziennik, wyciągnięte zeń wnioski nie byłyby niezgodne z wnioskami wynikającymi z niniej-

szej relacji. Przyszli żołnierze mogliby najwyżej dodatkowo dowiedzieć się z niego szczegółów dotyczących morale 3. Armii. Niektóre notatki oświetliłyby, być może, zasadnicze zagadnienie jednolitego dowództwa. Na razie jednak obrona narodowa nie pomija ani jednej lekcji, której Ameryka, jak sądził Patton, mogłaby się nauczyć z jego doświadczeń. Cieszy mnie, że mogę to stwierdzić i tym samym usprawiedliwić wstrzymanie publikacji samego dziennika w chwili, kiedy zdecydowana krytyka Pattona pod adresem poszczególnych osób mogłaby zranić ich uczucia, nie wnosząc nic do bezpieczeństwa wojskowego Stanów Zjednoczonych.

Generał Patton odznaczał się wybitnym zmysłem humoru, obdarzony był żołnierskim darem obserwacji, a zainteresowania jego obejmowały szeroki zakres zagadnień: poczynając od koni i jachtów, a kończąc na archeologii i etnologii. Z entuzjazmem i umiejętnością wydawania sądu pisał o wielu rzeczach, które widział, a listy jego są zachwycającym odzwierciedleniem jego osobowości. Można je podzielić na dwie grupy: listy przeznaczone wyłącznie dla pani Patton oraz te, które słusznie nazwała ona „listami otwartymi" i które mogła, jeśli chciała, pokazywać przyjaciołom swego męża. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności najbardziej czarujące z „listów otwartych" odnoszą się do okresu działań, który generał Patton bądź poruszył w swej książce powierzchownie, bądź zupełnie pominął. Opublikowanie listów odnoszących się do kampanii w Afryce i na Sycylii wydawało się nam wskazane, aby czytelnik zapoznał się z człowiekiem, który pojawia się w Normandii. Nie są to listy w pełnym słowa tego znaczeniu wojskowe, lecz wzbudzają zainteresowanie przez to, że wskazują, jaki typ człowieka reprezentował George Patton.

„Wojna – jak ją poznałem" z włączonymi do niej „listami otwartymi" należy do tego typu wczesnej relacji – a właściwie, można by powiedzieć, relacji tymczasowej – który znalazł swe miejsce w historiografii drugiej wojny światowej. Książkę tę można porównać, na przykład, ze wspomnieniami Jubala A. Early'ego, Johna B. Hodda, Richarda Taylora i Josepha E. Johnstona wydanymi w kilka lat po klęsce Południa, z tą jednak szczęśliwą różnicą, że Patton nie musiał tłumaczyć się z klęski i nie dawał upustu żalom. Te wczesne książki z okresu wojny secesyjnej nie opierały się na dokumentach i były w pewnych szczegółach nieścisłe, miały jednak ogromną wartość historyczną, ponieważ zostały napisane na gorąco, kiedy wrażenia wojenne były jeszcze świeże.

Około roku 1960 Amerykanie mogliby oczekiwać bardziej przemyślanej pracy o charakterze podobnym do wspomnień Granta czy Shermana lub Sheridana. Niektóre z przyszłych dzieł będą pod względem historycznym dokładniejsze aniżeli autobiografie wojskowe wydane bezpośrednio po wojnie. Jednakże to, co zyskamy pod tym względem, stracimy na skutek zacierania się pamięci oraz zdradliwych i zakorzenionych w pewnych umysłach tendencji do przypisywania planom operacji wojskowych zamierzeń, których podówczas nie można było przewidzieć. Po roku 1965 czy 1970 wspomnienia zaczną tonąć w mgle urojenia, niewiele z nich będzie miało jakąś wartość – większość, zamiast wyjaśniać sprawy, pogrąży je w mroku.

Do tego czasu będzie można pisać wymierne i dokładne biografie czołowych postaci okresu wojny. Oficjalny materiał źródłowy do tych „życiorysów" jest tak rozległy, że gdyby wydrukowano tylko najważniejsze sprawozdania armii z drugiej wojny światowej, zapełniłyby one, jak się ocenia, tysiąc tomów o rozmiarach tomu „Official Records of the Union and Confederate Armies". Ponieważ nie przewiduje się publikowania obszernych sprawozdań z lat 1941-1945, niektóre wartościowe dokumenty, być może, pójdą w zapomnienie i nie powróci się do nich w ciągu następnych dwudziestu pięciu czy trzydziestu lat. Pomimo to obraz dowódców będzie po dwóch czy trzech dziesiątkach lat dostatecznie jasny, aby biograf mógł podjąć swą pracę. Miejmy nadzieję, że postać generała Pattona stanie się jedną z pierwszych, które przyciągną uwagę zdolnego biografa, a inni pozostawią go w spokoju. Patton był człowiekiem, który wzbudzał zainteresowanie, a niekiedy wściekłość innych dowódców. Spełniał on zawsze napoleoński nakaz i dostarczał tematu gawędom biwakowym niezwykłym postępowaniem, które sprawia, że żołnierze najpierw przeklinają swego dowódcę, a potem nabierają do niego bezmiernego zaufania. W szerszym pojęciu zalet dowód-

czych zuchwała śmiałość Pattona przypomina odwagę Jacksona zwanego „Stonewall"[1]. Jego zdecydowane natarcie wprost do Renu przypomina marsz Shermana do morza. Postać Pattona wyszła z formy odlewniczej na miarę wielkich żołnierzy amerykańskich; jego osobisty rejestr należy do najbogatszych pośród rejestrów innych generałów amerykańskich; stanie się on idealnym tematem dla biografa wielkiej miary.

Westbourne
Douglas Southall Freeman

Richmond (Wirginia) 26 lipca 1947 roku

1 Mur kamienny.

Część pierwsza

„Listy otwarte" z Afryki i Sycylii

Rozdział 1

Operacja „Torch"

Ponieważ podane poniżej materiały z kampanii afrykańskiej niewiele mają związku z faktycznymi działaniami, a to ze względu na ograniczenia narzucone przez cenzurę w okresie, kiedy były pisane, krótkie streszczenie kampanii może być pożyteczne dla orientacji czytelnika.

8 listopada 1942 roku na północnym wybrzeżu Afryki wylądowały trzy zgrupowania operacyjne, m. in. Zachodnie Zgrupowanie Operacyjne[1]*. Jego wojskami lądowymi dowodził generał dywizji Patton. Organizacja dowództwa wojsk lądowych opierała się na planie, który zakładał, że przekształci się ono po wylądowaniu w dowództwo 5. Armii*[2]*. W skład Zachodniego Zgrupowania Operacyjnego wchodziły trzy związki taktyczne: północny, pod dowództwem generała dywizji Luciena K. Truscotta, który wylądował w Port Lyautey; środkowy, dowodzony przez generała dywizji Jonathana W. Andersona – pod Fedhalą*[3]*; oraz południowy z dowódcą generałem brygady Ernestem A. Harmonem – pod Safi. Na czele lotnictwa armijnego stał generał brygady John K. Cannon. Zgrupowanie operacyjne składało się z około 32 000 ludzi.*

Całością dowodził admirał H.K. Hewitt do czasu trwałego umocnienia się sił lądowych i powietrznych na wybrzeżu. W ciągu dwóch tygodni admirał bez incydentów prowadził zmiennymi kursami konwój, złożony z około stu okrętów, poprzez Atlantyk i przy dzielnej pomocy i niezmordowanych wysiłkach swego całego personelu wspierał desant wojsk lądowych.

Lądowanie całkowicie zaskoczyło Francuzów, a walki, jak na to wskazuje wysokość strat, były ciężkie. Marynarka francuska zarówno na morzu, jak na lądzie bohatersko i zaciekle walczyła do ostatka.

11 listopada, kiedy wojska stały już w gotowości bojowej, a samoloty znajdowały się nad celem, Francuzi dali sygnał „dosyć", dosłownie o kilka minut uprzedzając prawdopodobne zniszczenie Casablanki, którego tylko dzięki jakiemuś cudowi łączności udało się uniknąć.

Tego samego popołudnia został podpisany pokój w Fedhali, a generał Patton wzniósł toast na cześć żołnierzy obu narodów, którzy ponieśli bohaterską śmierć, oraz za walkę ramię przy ramieniu w celu zniszczenia nazistów.

Natychmiast przystąpiono do odbudowy portu, dróg i linii kolejowych, a w ciągu następnych dwóch tygodni jednostki amerykańskie uczyły Francuzów posługiwania się nowoczesną bronią.

Na początku marca 1943 roku generał Patton został wezwany do Tunezji, gdzie objął dowództwo II Korpusu, który poniósł na przełęczy Kasserine poważną klęskę. Korpus ten wchodził w skład 18. Grupy Armii dowodzonej przez generała Harolda Alexandra. Operacja pod Kasserine miała na celu udzielenie pomocy brytyjskiej 8. Armii pod dowództwem generała Montgomery'ego przez zagrożenie tyłom generała Rommla w re-

---

1 Oficer oddziału prasowego w Departamencie Wojny, generał dywizji A.D. Surles, opowiedział mi następującą historię. 7 listopada 1942 roku wieczorem na biuro jego rzucili się dziennikarze prosząc o informacje. Niektórzy grozili nawet oficerowi dyżurnemu. Wreszcie jeden z nich powiedział: „Chodźcie, chłopcy, pójdziemy do Białego Domu; tam nas zawsze dobrze przyjmują". I dziennikarze gremialnie opuścili biuro.
W drzwiach Białego Domu powitał ich ze zwykłą mu serdecznością sekretarz prezydenta, pan Stephan Early; zaprosił ich do wnętrza i poprosił, aby zajęli miejsca, po czym przeprosił ich i powiedział: „Za chwileczkę powrócę". Minęło piętnaście minut, pół godziny, dziennikarze zaczęli się niepokoić. Któryś podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.
Wreszcie pan Early wszedł do pokoju, wymachując trzymaną w ręku depeszą: „Już po wszystkim, chłopcy! – zawołał. – Nasze wojska wylądowały. Nastawcie radio". (B.A.P.)

2 Późniejsze rozkazy zmieniły ten plan.

3 Pod Fedhalą lądował generał Patton.

jonie Gafsy. W końcu kwietnia dowództwo II Korpusu przejął generał Omar N. Bradley, Patton zaś powrócił do planowania inwazji na Sycylię – pracy, którą przerwał na skutek działań w Afryce.

P.D.H.

AFRYKA PÓŁNOCNA

29 października 1942 roku
Przesyłam to pismo przez komandora Gordona Hutchinsa z „Augusty". Zanim dotrze on do kraju, wszystkie wydarzenia znajdą się już na łamach gazet. Norfolk opuściliśmy 24 października o godzinie 8.10 rano. Okręty wypłynęły w zadziwiającym porządku, z bezbłędną sprawnością. Posuwaliśmy się kolumną poprzez zagrody minowe oczyszczonym i oznaczonym bojami torem wodnym, po czym dołączyliśmy do pięciu kolumn prowadzonych przez „Augustę".

2 listopada
Mamy tu najlepsze kasyno, jakie kiedykolwiek widziałem. Boję się, że utyję. Co rano robię w mojej kabinie mnóstwo ćwiczeń gimnastycznych, łącznie z ćwiczeniami na drążku i biegami w miejscu (480 kroków, co równa się 0,4 kilometra). Rano, na stanowiskach bojowych nakładamy kamizelki ratunkowe i hełmy, ponieważ jednak moim stanowiskiem jest moja kabina, nie muszę się spieszyć. Następnie wychodzę na pomost bojowy, a gdy się rozjaśnia, idę na śniadanie. Skończyłem właśnie czytanie Koranu – to dobra i ciekawa książka.

Wydałem wszystkim prowizoryczną dyrektywę do działań. Stosuję strategię „walca parowego", to znaczy: zdecyduj się co do sposobu i kierunku działania i tego się trzymaj. Jeśli chodzi o taktykę, nie ma mowy o „walcu parowym". Atakuj słabe miejsce, chwyć za nos i kop w tyłek.

6 listopada
Za czterdzieści godzin znajdę się w ogniu walki, mając niewiele informacji; a natychmiast, bez chwili zastanowienia, będę musiał podejmować najdonioślejsze decyzje; wydaje mi się jednak, że odpowiedzialność wpływa na rozjaśnienie umysłu, tak że z boską pomocą będę w stanie je podjąć i będą one słuszne. Mam takie wrażenie, jakbym całe życie czekał na tę chwilę. Kiedy skończę z tą robotą, sądzę, że wstąpię na następny szczebel drabiny przeznaczenia. Jeśli tylko spełnię wszystko, co do mnie należy, reszta dokona się sama.

8 listopada
Ubiegłej nocy położyłem się do łóżka ubrany i spałem od godziny 10.30, chociaż nie było to łatwe. O godzinie drugiej wyszedłem na pokład i ujrzałem światła Fedhali i Casablanki oraz światła na wybrzeżu. Morze – gładkie jak lustro, ani jednej fali. Bóg jest z nami[4].

Mieliśmy, jak dotąd, wspaniały dzień; od godziny 8 toczymy bitwę morską. O godzinie 7.15 z Casablanki wyszło sześć nieprzyjacielskich niszczyciel. Dwa płonęły. Wszystkie nasze okręty, w których zasięgu się znalazły, otworzyły do nich ogień i niszczyciele zawróciły. Massachusetts ostrzeliwał „Jean Barta" około trzydziestu minut. O godzinie 8 wybierałem się na ląd. Moja łódź ze wszystkimi naszymi rzeczami, pośród których znajdowały się moje białe rewolwery, wisiała już na żurawikach. Posłałem ordynansa, aby mi te rewolwery przyniósł, a w tej samej chwili z Casablanki wyszły dwa duże niszczyciele i jeden lekki krążownik pędząc blisko brzegu i usiłując zaatakować nasze transportowce. „Augusta" zwiększyła szybkość do 20 węzłów i otworzyła ogień. Pierwszy podmuch salwy oddanej z wieży zmiótł naszą łódź, diabli ją wzięli, a wraz z nią wszystkie nasze rzeczy oprócz pistoletów. Około godziny 8.20 nieprzyjacielskie bombowce zaatakowały nasze trans-

4 Podczas planowania operacji „Torch" zapewniano nas na podstawie znajomości warunków lokalnych, że podczas całego roku znajdzie się zaledwie dwanaście dni, w których istnieje możliwość przeprowadzenia desantu.

portowce i „Augusta" pospieszyła, aby je osłonić. Po tym znów nawiązaliśmy walkę z okrętami francuskimi. Ostrzeliwaliśmy je zaciekle około trzech godzin. Stałem na górnym pokładzie, kiedy pocisk upadł tak blisko, że oblały mnie strumienie rozpryskującej się wody. Później, gdy byłem na pomoście bojowym, następny pocisk upadł jeszcze bliżej, ale tym razem znajdowałem się za wysoko, aby fontanna mogła mnie dosięgnąć. W powietrzu wisiała mgiełka, a nieprzyjaciel stosował dymną zasłonę. Zaledwie mogłem go widzieć i rozróżnić wzbijane przez nasze pociski fontanny wody, okręty nasze bowiem strzelały jak wszyscy diabli, płynąc zygzakiem i wykonując zwroty, aby utrzymać nieprzyjaciela z dala od naszych transportowców.

Admirał Hall, szef sztabu admirała Hewitta, mój szef sztabu, pułkownik Gay, pułkownicy Johnson i Ely ze sztabu wojsk desantowych floty atlantyckiej, moi adiutanci Jenson i Stiller oraz sierżant Meeks udali się wraz ze mną na ląd o godzinie 12.42.

Kiedy łódź nasza odbijała od okrętu, marynarze wychylali się za reling wiwatując. Wylądowaliśmy na plaży o godzinie 13.20 zupełnie przemoczeni bryzgami fal. Toczył się jeszcze zażarty bój, a ja nie miałem nabojów.

Harmon zajął Safi przed świtem, ale dowiedzieliśmy się o tym dopiero w południe.

Do południa Anderson zdobył rejon obu rzek oraz wzniesienie i wziął do niewoli ośmiu członków niemieckiej komisji rozejmowej. Dowiedzieli się o lądowaniu dopiero o godzinie szóstej, co świadczyło, że stanowiło ono całkowite zaskoczenie.

Kiedy znajdowaliśmy się jeszcze w Waszyngtonie, pułkownik W. H. Wilbur zaofiarował się, że pojedzie do Casablanki i zażąda złożenia broni. Wylądował w pierwszym rzucie i w ciemnościach udał się do Casablanki z białą flagą. W drodze był kilkakrotnie ostrzeliwany, ale w Casablance Francuzi uszanowali flagę, chociaż odmówili złożenia broni.

11 listopada

Dzisiaj postanowiłem zaatakować Casablankę 3. Dywizją i jednym batalionem czołgów. To była śmiała decyzja, ponieważ zarówno Truscott, jak Harmon zdawali się mieć trudności; uważałem jednak, że powinniśmy utrzymać inicjatywę w naszych rękach. Potem przybył na brzeg admirał Hall, aby uzgodnić wsparcie artylerii okrętowej i lotnictwa. Przywiózł dobre wiadomości. Truscott zdobył lotnisko w Port Lyautey i znajdują się tam teraz czterdzieści dwa samoloty P-40. Harmon maszeruje na Casablankę.

Anderson chciał rozpocząć atak o świcie, przesunąłem jednak termin na godzinę 7.30, ponieważ pragnąłem uniknąć pomyłek w ciemnościach. Tego ranka o godzinie 4.30 przybył francuski oficer, aby nas powiadomić, że wojska w Rabacie przerwały ogień; cały sztab pragnie, aby natarcie odwołać. Ja jednak powiedziałem, że będziemy nacierali. Pamiętałem rok 1918, kiedy przerwaliśmy natarcie zbyt wcześnie. Odesłałem więc francuskiego oficera do Casablanki polecając mu, aby zameldował admirałowi Michelierowi, dowódcy garnizonu w Casablance, że jeśli nie chce zostać zniszczony, lepiej by natychmiast zaprzestał oporu, ponieważ ja będę nacierał – nie powiedziałem kiedy. Następnie zawiadomiłem admirała Hewitta, że jeśli Francuzi w ostatniej chwili zrezygnują z walki, przekażę mu przez radio sygnał „przerwać ogień". To było o godzinie 5.30. O godzinie 6.40 nieprzyjaciel zaprzestał oporu. Był najwyższy czas, ponieważ bombowce znajdowały się już nad celem, a okręty liniowe przygotowały się do otworzenia ognia. Kazałem Andersonowi wkroczyć do miasta, a gdyby ktoś próbował go zatrzymać – atakować. Nikt go nie zatrzymywał, ale godziny od 7.30 do 11 były najdłuższe w moim życiu.

O godzinie drugiej przybyli admirał Michelier i generał Noguès w celu przeprowadzenia pertraktacji. Konferencję otworzyłem gratulując Francuzom ich odwagi, zakończyłem zaś szampanem i toastami. Wystawiłem im również wartę honorową. Nie ma sensu kopać człowieka, kiedy już jest powalony.

Za dzień lub dwa Noguès i ja złożymy wizytę sułtanowi.

Wizyta dowódcy i jego sztabu u generała Noguèsa i sułtana Maroka

KWATERA GŁÓWNA ZACHODNIEGO ZGRUPOWANIA OPERACYJNEGO

16 listopada 1942 roku

Casablankę – kombinację Hollywoodu z Biblią – opuściliśmy o godzinie 9.45 udając się do Rabatu. Okolica za Fedhalą, to najlepszy teren dla czołgów, jaki kiedykolwiek widziałem – falisty i otwarty, z wznoszącymi się gdzieniegdzie kamiennymi zabudowaniami farm, mogącymi stanowić punkty oporu piechoty, chociaż nie oparłyby się one działom 105-milimetrowym.

Teren w ogólnych zarysach przypomina wybrzeże hawajskiej Kony. Identyczne drzewa i tak samo intensywnie niebieskie morze. Mijaliśmy duże stada owiec i bydła nieokreślonej rasy. Wszystkich mostów drogowych i kolejowych strzegli marokańscy żołnierze wojsk nieregularnych zwani „Goons"[5] – przynajmniej tak to brzmi w ich wymowie. Są oni ubrani w szlafroki w czarne i białe pasy, mają na głowie turbany, które kilka lat temu były prawdopodobnie białe, i są uzbrojeni w bardzo stare karabiny i bagnety.

Zalegające za Fedhalą drogę wraki samochodów ciężarowych i pancernych świadczyły o potędze naszej marynarki i lotnictwa. W Rabacie generał Harmon[6] dał mi eskortę złożoną z pancernych samochodów rozpoznawczych i czołgów. Wydawało mi się jednak, że pojawienie się w rezydencji generała Noguèsa[7] z takimi siłami może być poczytane za chełpliwość z mojej strony, wobec czego eskortę odesłałem.

Gdy przybyliśmy do rezydencji, oczekiwał nas dywizjon kawalerii marokańskiej, w którym tylko oficerowie byli konno. Spotkała nas również straż przyboczna gubernatora generalnego, złożona z Marokańczyków w białych mundurach z oporządzeniem z czerwonej skóry.

Pistolet i ładownicę mieli przymocowane skrzyżowanymi pasami na środku brzucha.

Oba oddziały honorowe były bardzo imponujące; każdy z nich wystąpił z własną orkiestrą złożoną z francuskich trąbek, bębnów i mosiężnego parasola okolonego dzwoneczkami, który przy fanfarach i biciu w werble stale się obracał.

Przeszliśmy przed frontem obu tych oddziałów, gratulując francuskim dowódcom ich postawy, która była prawdziwie żołnierska, oczywiście w znaczeniu tego słowa z 1914 roku. Aż żal było pomyśleć, że wystarczyłby jeden lekki czołg eskorty, którą odesłałem, aby z łatwością zniszczyć wszystkie te wspaniałe istoty wyprężone w postawie na baczność.

Rezydencja mieści się we wspaniałym marmurowym budynku wybudowanym na wzór Alhambry przez marszałka Lyauteya[8] i doskonale rozumiałem, dlaczego generał Noguès nie chciał jej opuścić. Przyjął nas bardzo serdecznie i rozmawialiśmy około dwudziestu minut, do chwili udania się do pałacu sułtana.

Teren pałacu obejmuje chyba kilkaset akrów i otoczony jest murem wysokości 5 metrów, wzniesionym rzekomo w 1300 roku. Mam co do tego poważne wątpliwości, chociaż mur z pewnością jest bardzo stary.

Po przekroczeniu bramy szliśmy na przestrzeni około kilometra między chatami tubylców, w których przypuszczalnie mieszkała służba pałacowa ze swą bardzo liczną progeniturą. Sam pałac jest ogromnym, trzypiętrowym białym budynkiem w stylu mauretańskim, do którego wchodzi się przez bramę tak szeroką, że mógłby przez nią wjechać samochód. Podwórze wewnątrz otaczała ze wszystkich stron straż pałacowa, złożona z uzbrojonych w karabiny czarnych żołnierzy

5 *Goumiers* – żołnierze kawalerii złożonej z Arabów, dowodzeni przez oficerów francuskich.

6 Dowódca 2. Dywizji Pancernej, której część wylądowała w Maroku.

7 Generał armii Auguste Noguès, francuski rezydent w Maroku.

8 Luis Hubert Lyautey, marszałek francuski, słynny budowniczy (1854-1934)

Ilustracje

Amerykańska piechota ląduje na plaży pod Surcouf w Algierii. Proszę zwrócić uwagę na żołnierza po lewej stronie u góry, który trzyma amerykańską flagę, w nadziei, że żołnierze francuscy nie będą zbytnio skorzy do strzelania do Amerykanów.

Amerykańskie bombowce B-25D Mitchell na tunezyjską pustynią. Z reguły przeprowadzały bombardowania z wysokości pięćdziesięciu metrów.

Piechota amerykańska posuwa się w typowym dla Afryki Północnej terenie.

Generał Patton (z lewej) omawia z gen. Eisenhowerem sytuację taktyczną w Tunezji.

w czerwonych mundurach, czerwonych obcisłych spodniach i białych getrach. Wydaje mi się, że było ich przynajmniej czterystu.

Wysiedliśmy z samochodu i w tej chwili z wielkim zacięciem uderzyła w bębny, cymbały, rogi i metalowy parasol inna orkiestra wojskowa.

Po lewej stronie bramy, gdy się wchodzi, znajdował się zielony sztandar wiernych. Uszyty jest z aksamitu, obramowany złotem, a pośrodku widnieją jakieś arabskie słowa. Po przejściu tej drugiej bramy znaleźliśmy się w rejonie Starego Testamentu. Był to ogromny podwórzec, ze wszystkich stron otoczony przez ludzi w białych biblijnych szatach. Tutaj wyszedł na nasze spotkanie wielki wezyr – przynajmniej ja go za takiego wziąłem. Ubrany był w białą szatę z kapturem, pod którym nosił jedwabne, haftowane złotem nakrycie głowy.

Miał on najbardziej imponujący komplet złotych zębów, jaki kiedykolwiek widziałem, oraz bardzo nędzną brodę. Zakomunikował nam, że sułtan łaskawie zgodził się nas przyjąć, co zresztą wobec przygotowań, jakie do tego robiono, było zupełnie oczywiste.

Przebyliśmy trzy partie schodów i na górze nasz przewodnik zdjął buty. Weszliśmy do pokoju, w którym wzdłuż lewej ściany stało dwunastu apostołów oraz kilku ich zastępców, wzdłuż prawej zaś – liczne złocone fotele w stylu Ludwika XIV.

Podłogę pokrywały najpiękniejsze i najbardziej puszyste dywany, jakie kiedykolwiek widziałem. W odległym krańcu pokoju na podwyższeniu siedział sułtan, przystojny młody mężczyzna, niezwykle wątły o bardzo delikatnej twarzy.

Po wejściu do sali trzeba się zatrzymać i od bioder skłonić tułów. Potem należy posunąć się do połowy pokoju i powtórzyć to samo. Następnie podchodzi się do podwyższenia i składa się ukłon po raz trzeci.

Sułtan wstał, podał rękę mnie i generałowi Noguèsowi, po czym wszyscy usiedliśmy.

Sułtan polecił wielkiemu wezyrowi po arabsku, chociaż doskonale władał językiem francuskim, aby powiedział mi po francusku, jak bardzo rad jest, że mnie widzi. Prowadziłem z nim rozmowę przy pomocy dwóch tłumaczy. Wyraziłem zadowolenie, że jego naród oraz Francuzi i my znów jesteśmy zjednoczeni i zapewniłem go, że jedynym naszym życzeniem jest połączyć się z jego narodem i Francuzami, aby wspólnie przeciwstawić się nieprzyjacielowi. Bawiło mnie to, że doskonale rozumiał rozmowę, ale musiał czekać, aż przełożą mu ją na arabski, ponieważ poczucie godności nie pozwalało mu przyznać się do znajomości obcego języka.

Po wstępnych rozmowach wyraził nadzieję, że znalazłszy się w kraju mahometańskim, żołnierze amerykańscy uszanują zwyczaje mahometańskie. Powiedziałem mu, że kategoryczne rozkazy co do tego zostały wydane jeszcze przed naszym odjazdem ze Stanów Zjednoczonych i że będą one przestrzegane. Stwierdziłem następnie, że we wszystkich armiach, nie wyłączając armii amerykańskiej, zawsze mogą znaleźć się głupcy, wobec czego mam nadzieję, iż zawiadomi mnie o wypadkach świętokradztwa, jakich mogliby się dopuścić poszczególni żołnierze. Odpowiedział, że wypadki takie z pewnością się nie przytrafią, lecz w razie czego zawiadomi mnie o nich za pośrednictwem generała Noguèsa.

Zakończyłem wizytę wyrażając słowa uznania dla piękności jego kraju, zdyscyplinowania obywateli i świetności miast. Wstaliśmy, sułtan również podniósł się ze swego tronu, podał mi rękę i zaprosił na środę na herbatę z okazji rocznicy jego wstąpienia na tron. Początkowo planowano, że moją pierwszą wizytę złożę sułtanowi właśnie tego dnia, oświadczyłem jednak generałowi Noguèsowi, że ponieważ reprezentuję prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz dowódcę sił sojuszniczych, byłoby niewłaściwe, abym zjawił się w dniu, kiedy odbywa się przyjęcie. To, że sułtan mnie teraz na nie zaprosił, jasno wskazywało, iż należycie ocenił moją postawę.

Po zakończeniu rozmowy z sułtanem nastąpiło spotkanie z dwunastu mędrcami i ich zastępcami. Było ich razem około szesnastu – paszów różnych prowincji i miast Maroka. Sądząc po ich wieku stanowisko paszy jest chyba stanowiskiem dożywotnim, najstarszy z nich bowiem miał dziewięćdziesiąt dwa lata, a najmłodszy, zdaje mi się, około siedemdziesięciu. Wszyscy byli ubrani na

biało, w skarpetkach i stanowili niezmiernie dystyngowaną grupę ludzi wyraźnie przyzwyczajonych do rządzenia.

Opuściliśmy pałac i znów czerwona gwardia oddała nam honory. Udaliśmy się do rezydencji generała Noguèsa, gdzie pani Noguès i jej siostrzenica przyjęły nas niezwykle wykwintnym lunchem. Generał Noguès przekonywał mnie, że w czasie okupacji niemieckiej ani jeden Niemiec nie mieszkał w jego domu i nie zasiadał przy jego stole.

Po krótkiej rozmowie po lunchu opuściliśmy rezydencję i o trzeciej przybyliśmy do Casablanki.

Rocznica wstąpienia na tron sułtana

SZTAB ZACHODNIEGO ZGRUPOWANIA OPERACYJNEGO

22 listopada 1942 roku

Druga wizyta u sułtana miała podobny przebieg jak pierwsza, z tą różnicą, że tym razem od rezydencji do pałacu towarzyszyła nam eskorta złożona ze szwadronu kawalerii. Żołnierze jechali na białych ogierach i mieli na sobie białe burnusy z odrzuconymi do tyłu niebieskimi kapturami, białe turbany i czerwone mundury z mosiężnymi guzikami i zapięciami. Trzech oficerów jechało konno tuż obok naszego samochodu: po jednym z obu stron i jeden z tyłu. Przez całą drogę grali konni trębacze.

Przed pałacem ustawił się cały pułk kawalerii. Jeden szwadron uzbrojony był w lance. Pułk ten, jak również nasza eskorta, miał najpiękniejsze wierzchowce, jakie kiedykolwiek widziałem. Pośrodku zewnętrznego podwórza stała czarna gwardia złożona z ogromnych Senegalczyków w czerwonych fezach i czerwonych mundurach z oporządzeniem z czerwonej skóry i w białych getrach.

Podobnie wystrojona orkiestra odegrała narodowy hymn marokański oraz Marsyliankę.

Na spotkanie wyszedł nam wielki wezyr czy mufti. Wprowadził on nas na wewnętrzny podwórzec; przed nami szło dwóch bardzo starych dżentelmenów z długimi pastorałami – zupełnie jak w biblijnych sztukach. U każdego na pośladku przymocowane było coś w rodzaju ładownicy, a ponadto każdy był uzbrojony w bardzo długą, krzywą szablę turecką w czerwonej skórzanej pochwie.

W sali tronowej i w westybulu roiło się od wodzów: im dalej od tronu, tym mniejszy wódz. Pięknie wyglądali wielcy wodzowie ustawieni z lewej strony tronu – kiedy jest się do niego zwróconym twarzą – wszyscy wysokiego wzrostu i już starzy.

Sułtanowi towarzyszył następca tronu, jeden z jego synów lat około czternastu. Następca tronu siedział na pierwszym krześle, Noguès na drugim, ja na trzecim. Podczas poprzedniej wizyty ja siedziałem na pierwszym krześle, a Noguès na drugim, ale taka kolejność jak dzisiaj była zupełnie właściwa. Generał Noguès przeczytał długie, przedtem przygotowane przemówienie po francusku; wielki wezyr, który miał już tekst przemówienia, przetłumaczył je na arabski. Następnie bardzo uroczyście wręczył sułtanowi tekst jego odpowiedzi odręcznie napisany po arabsku; sułtan przeczytał go. a wielki wezyr przetłumaczył na francuski z odpisu, który miał w ręce.

Podczas tej ceremonii coraz bardziej uświadamiałem sobie fakt, że Stany Zjednoczone odgrywają tu zbyt małą rolę, wobec czego, kiedy Noguès skończył i usunął się sprzed tronu, nie pytając nikogo o zezwolenie wysunąłem się do przodu i wygłosiłem, o ile sobie przypominam, następujące przemówienie:

> Wasza Wysokość! Jako przedstawiciel wielkiego prezydenta Stanów Zjednoczonych i jako dowódca potężnych sił zbrojnych w Maroku pragnę złożyć gratulacje Stanów Zjednoczonych z okazji piętnastej rocznicy wstąpienia Waszej Wysokości na tron swoich przodków

i zapewnić Waszą Wysokość, że dopóty, dopóki kraj Jego wraz z rządem francuskim w Maroku będzie z nami współpracował i ułatwiał nam nasze wysiłki, niewątpliwie, z pomocą bożą, osiągniemy zwycięstwo w walce przeciwko naszemu wspólnemu wrogowi – nazistom.

Żywię przekonanie, że Wasza Wysokość oraz francuski rząd w Maroku podzielają to zdanie. Dopóki zgadzamy się w tym punkcie, możemy patrzeć w najbardziej świetlaną przyszłość. Do wiary w zgodność naszych poglądów uprawnia mnie pamięć o tym, że jeden z wielkich poprzedników Waszej Wysokości ofiarował naszemu sławnemu prezydentowi George'owi Washingtonowi budynki zajmowane obecnie przez misję amerykańską w Tangerze, oraz pamięć o tym, że od dni wielkiego Washingtona porozumienie i przyjaźń z Francuzami były równie głębokie.

Pragnę skorzystać z tej okazji, aby pogratulować Waszej Wysokości mądrej współpracy jego poddanych z Amerykanami, jak również raz jeszcze wyrazić głęboki podziw dla świetnej postawy i wspaniałego zdyscyplinowania żołnierzy Waszej Wysokości.

Interesującym szczegółem w postaci sułtana jest to, że powinien on mieć brodę, a tymczasem woli być ogolony. Omija więc zwyczaj używając albo małych nożyczek, albo brzytwy i rezultat jest taki, że broda jego jest śmiechu warta. Również wąsy są krótsze, niż przewiduje zwyczaj. Sułtan nie powinien też nosić ubrania europejskiego, ale kilku naszych oficerów oraz wielu oficerów francuskich widziało go konno w terenie, bez asysty, w angielskim kostiumie do konnej jazdy. Jestem pewny, że mówi po francusku, i prawie pewny, że zna angielski. Właściwie to nawet słyszałem pogłoski, że pod przybranym nazwiskiem skończył uniwersytet w Oksfordzie.

Na popołudniowym przyjęciu z okazji wstąpienia sułtana na tron obecni byli prawie wszyscy ludzie mający jakieś znaczenie. Ponieważ nie mogłem skorzystać z zaproszenia, poprosiłem generała Harmona, aby mnie zastąpił. Podczas przyjęcia dały się słyszeć krzyki, po których nastąpiły dwa wystrzały. Sułtan przeprosił obecnych, z wielką godnością opuścił towarzystwo i po chwili powrócił. Generał Noguès zapytał, co się stało. Sułtan odpowiedział, że pantera ze zwierzyńca, zrobiwszy piękny skok długości pięciu metrów, przedostała się przez jakiś otwór i zaczęła zajadać jedną z dam z haremu, ale kilku strażników zastrzeliło zwierzę. Dama miała tylko nadgryzione gardło, ale ponieważ nie była żoną, tylko konkubiną – niewielka strata. Po tym drobnym incydencie przyjęcie potoczyło się dalej.

Stare kazby, czyli forty, są bardzo ciekawe i stanowią rzeczywiście ogromne przeszkody. Jest ich w kraju wiele, zwłaszcza w górach. Mają one blanki typu mauretańskiego i występujące na zewnątrz wieże mniej więcej co 200 metrów. Grubość murów dochodzi do trzech metrów.

Niektóre forty są rzekomo pochodzenia rzymskiego, ale jak dotychczas nie widziałem ani jednego, który by wyglądał tak staro. Fort w Port Lyautey, który trzymał się trzy dni i został w końcu przez nas zdobyty, kiedy użyliśmy 105-milimetrowych dział samobieżnych wybijając nimi wyłomy, przez które natarł granatami i bagnetem 2. batalion 60. pułku piechoty[9], stanowi ciężki orzech do zgryzienia. Oparł się on sześciocalowym pociskom artylerii okrętowej, wytrzymał ogień moździerzy i uderzenie bombowców nurkujących; padł dopiero pod uderzeniem naszego zawsze zwycięskiego piechura z jego karabinem i granatem. Nie wnikałem zbytnio w to, kto z załogi przetrwał, wątpię jednak, czy chociaż jeden pozostał przy życiu. W walce wręcz żołnierz nie ma czasu się zastanawiać.

Ze względu na to, że w Maroku niewiele można kupić, pieniądze straciły wartość i bardzo trudno jest znaleźć kogoś do pracy. Pracującym u nas Arabom staramy się sprzedawać po niskich cenach rzeczy, których brak najbardziej odczuwają: cukier, herbatę, ryż, kawę i ubrania. Będziemy im płacili we frankach i w ten sposób przywrócimy wartość pieniądza.

9 Pułkownik F.J. de Rohan.

Dzisiaj rano poszedłem z generałem Keyesem[10] do kościoła katolickiego. Było bardzo tłoczno, a w tłumie niewątpliwie znajdowało się wiele wdów, których mężowie zostali zabici przez nas. W większości były to młode kobiety; nosiły żałobę i płakały, ale, zdaje się, nie żywią do nas wrogich uczuć.

Pani Hardion, żona ministra do spraw cywilnych, tłumaczyła to tym, że po 1940 roku Francuzi wstydzili się sami przed sobą, że stracili dumę, a kobiety wstydziły się jeszcze bardziej niż mężczyźni; toteż kiedyśmy się pojawili, zachwyceni byli możliwością walki z nami w sposób, jak ona to określiła, przyjazny. Biorąc pod uwagę, że Francuzi stracili dwa do trzech tysięcy zabitych na lądzie i co najmniej pięciuset zabitych na morzu, my zaś mieliśmy ponad siedmiuset zabitych i rannych na lądzie, nie wydaje mi się, żeby wojna ta była specjalnie przyjazna. Pani Hardion upierała się jednak przy swoim utrzymując, że wojna ta w dużej mierze przyczyniła się do podniesienia morale narodu francuskiego. Dotyczyło to zwłaszcza kobiet francuskich, które przedtem odczuwały taki wstręt do swych mężczyzn, że nie chciały z nimi żyć. Jednakże wobec dużej liczby dzieci na ulicach, trudno mi jest dać wiarę temu ostatniemu twierdzeniu.

Jak dotychczas widziałem tylko jednego pijanego żołnierza amerykańskiego, a i to dwaj jego przyjaciele bardzo troskliwie się nim opiekowali. Nasi żołnierze przeżywali ciężki okres, ponieważ dopiero dwudziestego pierwszego wyładowano na brzeg kuchnie i nie mieliśmy namiotów poza jednoosobowymi. Pomimo to są w bardzo dobrym nastroju i cieszą się doskonałym zdrowiem, nie licząc poszczególnych wypadków rozstroju żołądka, co nie trwa dłużej niż jeden dzień i co należy, sądzę, przypisać miejscowej wodzie.

Ciekawą rzeczą jest obserwować zmiany zachodzące w żołnierzach. Zaraz po przybyciu tutaj byli strasznie zaniedbani, prawdopodobnie na skutek skrajnego zmęczenia, jednakże w ciągu ostatnich dwóch dni nasze wysiłki zmierzające do poprawienia ich wyglądu zaczynają przynosić owoce i wkrótce staną się oni, sądzę, chlubą swojego kraju.

Pola orze się tutaj bardzo dziwną kombinacją różnych zwierząt. Chłopi używają zaprzęgu konia z wielbłądem, osiołka z wielbłądem, byka z wielbłądem lub byka z koniem. Jak mi mówiono, dwóch wielbłądów w zaprzęgu nie można używać, ponieważ wielbłądy gryzą się ze sobą. Każde zwierzę idące w parze z wielbłądem nabiera uczucia wstrętu i traci radość życia.

Armia francuska, zwłaszcza zaś generał Martin w Marrakeszu. okazywała nam nad wyraz przyjazne uczucia. Generał Martin wydał dla oficerów 47. pułku piechoty z Safi dwa przyjęcia i zaprosił mnie oraz wszystkich oficerów mojego sztabu do siebie na tak długo, jak zechcemy pozostać. Mam zamiar wkrótce go odwiedzić.

W 1940 roku generał Martin dowodził 67. Dywizją Marokańską, która została rozbita. Podczas wizyty generała Andersona[11] generał Martin wyciągnął sztandar dywizji, którą już nie dowodzi, i poprosił, aby Anderson zdjął z niej krepę. Miał to uczynić na znak, że walki toczone przez generała Martina przeciwko nam zmazały z dywizji hańbę. Generał Martin przeciął krepę na dwoje i dał połowę generałowi Andersenowi. Był to gest bardzo wzruszający i, moim zdaniem, pełen znaczenia.

Ciekawe jest, że dwudziestego wyładowaliśmy 30 000 ludzi w ciągu trzynastu godzin, a od tego czasu wyładowywaliśmy zaopatrzenie w tempie 47 ton na godzinę, pomimo bardzo złego stanu portu. Marynarka amerykańska i francuska dokonała i dokonuje nadal wspaniałej pracy. Pochwała ta dotyczy, oczywiście, również naszej własnej sekcji zaopatrzenia.

10 Generał dywizji Geoffrey Keyes, zastępca dowódcy Zachodniego Zgrupowania Operacyjnego.

11 Generał dywizji J.W. Anderson, 3. Dywizja Piechoty.

Msza żałobna w Casablance na intencję poległych żołnierzy amerykańskich i francuskich

SZTAB ZACHODNIEGO ZGRUPOWANIA OPERACYJNEGO

23 listopada 1942 roku

O godzinie 8.45 rano generał Keyes, admirał Hall[12] i ja spotkaliśmy się w siedzibie rezydenta w Casablance z generałem Noguèsem, admirałem Michelierem[13] oraz kilku oficerami jego sztabu. Stąd udaliśmy się z eskortą policji do katedry Sacre Coeur. Wzdłuż ulic stali francuscy i amerykańscy żołnierze oraz żandarmeria. Katedra była wypełniona po brzegi.

Do drzwi wyszedł na nasze powitanie biskup Maroka w czerwonej szacie i bogato haftowanej komży, w czterograniastym czerwonym birecie na głowie; biskup poprowadził nas do przodu, gdzie stały dwie trumny: po prawej stronie amerykańska, okryta amerykańskim sztandarem, przy której wartę honorową trzymało sześciu amerykańskich żołnierzy, po lewej zaś francuska z francuskim sztandarem i francuską wartą honorową.

Po mszy wyszliśmy za duchowieństwem i wsiedliśmy do naszych samochodów. Bardzo niestosowne wydało mi się to, że kiedy wchodziliśmy i wychodziliśmy z katedry, przed oczekującymi przed katedrą ludźmi ustawił się spieszony oddział uzbrojonych w szable kawalerzystów mahometańskich.

Przeczekaliśmy w siedzibie rezydenta godzinkę, aby zgromadzeni ludzie mieli czas przejść na cmentarz, i udaliśmy się tam również. Obok bramy stał batalion piechoty amerykańskiej i batalion francuskiej piechoty afrykańskiej, przed nimi zaś grupa ludzi z legionu francuskiego, odpowiednika legionu amerykańskiego. Przeszliśmy około kilometra przez cmentarz i zatrzymaliśmy się między dwoma masztami – amerykańskim na prawo i francuskim na lewo – na których powiewały chorągwie.

Generał Noguès i ja złożyliśmy olbrzymi wieniec na płycie upamiętniającej poległych bohaterów, legion francuski złożył czerwony wieniec. Po zakończeniu tej ceremonii francuska orkiestra odegrała odpowiednik naszego capstrzyku, podczas którego chorągiew opuszczono do połowy masztu. Następnie orkiestra odegrała Marsyliankę i chorągiew wciągnięto z powrotem. Z kolei nasza orkiestra odegrała capstrzyk i chorągiew opuszczono do połowy masztu, po czym po odegraniu „Star Spangled Banner"[14] wciągnięto ją na szczyt.

Przeszliśmy między grobami amerykańskimi i francuskimi, zatrzymując się przy jednych i drugich, aby oddać honory wojskowe. Za nami sunął tłum ludzi – sądzę, że kilka tysięcy.

Na każdym grobie stał krzyż, a na grobach amerykańskich na krzyżu umieszczony był nieśmiertelnik[15] żołnierza. Nazwiska na krzyżach mają być wypisane później. Następnie wróciliśmy do bramy, wsiedliśmy do samochodów i pojechaliśmy z powrotem do siedziby rezydenta. Ceremonia była bardzo podniosła, a kiedy powiedziałem generałowi Noguèsowi, że sądzę, iż wspólnie przelana krew francuska i amerykańska stała się świętym sakramentem, zdawał się być moimi słowami wzruszony.

12 Kontradmirał John Hall, szef sztabu admirała Kenta Hewitta, późniejszy komendant portów.

13 Admirał Michelier, dowódca marynarki francuskiej w Casablance.

14 Narodowy hymn amerykański [przyp. tłum.].

15 Identyfikator, który (w dwóch egzemplarzach) noszą amerykańscy żołnierze na szyi.

Lunch z generałem Noguèsem; Rabat, Maroko

SZTAB ZACHODNIEGO ZGRUPOWANIA OPERACYJNEGO

8 grudnia 1942 roku

Generał Noguès zaprosił mnie, generała Keyesa oraz ośmiu oficerów do swego domu na lunch, podczas którego mieliśmy spotkać Jego Ekscelencję pana Boissona, gubernatora Dakaru. Generał Fitzgerald z lotnictwa, również zaproszony na lunch, zabrał nas swoim samolotem.

Przyjęto nas ze zwykłymi honorami. Oprócz nas, pana Boissona i generałów francuskich obecni byli również: wielki wezyr sułtana oraz szef protokołu dyplomatycznego. To jego wziąłem przedtem za wielkiego wezyra. Wielki wezyr jest tym człowiekiem, który stoi po prawej stronie sułtana na czele dwunastu apostołów. Jest to bardzo elegancki dżentelmen w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat i mówi po francusku akurat tak samo jak ja.

Kiedy przybyliśmy, nikt na niego nie zwracał uwagi, podszedłem więc i zacząłem z nim rozmawiać. Podczas lunchu siedział po lewej stronie pani Noguès; ja siedziałem po jej prawej stronie. I znów nikt nie powiedział do niego ani słowa. Wchodząc i wychodząc z jadalni powinienem był iść przed nim, ale specjalnie się starałem, aby tego nie robić, co sprawiło na starszym panu doskonałe wrażenie.

Po lunchu wielki wezyr przysłał do mnie szefa protokołu z zapytaniem, czy nie zechciałbym z nim porozmawiać. Rozpoczęliśmy rozmowę, przy której był obecny jeden ze stronników generała Noguèsa oraz jakiś amerykański oficer marynarki mówiący po francusku; ale ja zwracałem się bezpośrednio do starszego pana. Powiedział mi on, że Jego Królewskiej Mości specjalnie zależy na tym, abym wiedział, iż całe życie Maroka zależy od zachowania pokoju. Zapewniłem go, że głęboko badam zagadnienia historyczne, że od najwcześniejszego dzieciństwa nie myślałem o niczym innym, jak o utrzymaniu pokoju we Francuskim Maroku i że zamierzam go utrzymać, wysłuchując życzeń Jego Królewskiej Mości przekazywanych mi przez generała Noguèsa. Odpowiedział mi, że gdy moje słowa dotrą do uszu Jego Królewskiej Mości, wprawią go w stan radosnego wzruszenia, na co oświadczyłem, iż ja ze swej strony będę się czuł podwójnie szczęśliwy za każdym razem, gdy uda mi się uszczęśliwić Jego Królewską Mość.

Wielki wezyr poruszył następnie sprawę antypatii rasowych – Żydzi – istniejących w Maroku. Powiedziałem mu, że doskonale rozumiem te rzeczy, ponieważ jako dziecko wychowywałem się na dużej fermie, na której hodowano 20 000 owiec. Nie było to całkowicie zgodne z prawdą, ale zrobiło na Arabach doskonałe wrażenie. Moja znajomość z owcami pozwoliła mi świetnie zrozumieć antypatie rasowe i z tego względu nie mogę nic w tej sprawie zrobić, wydaje mi się bowiem, że jeżeli przodkowie sułtana zajmowali się tymi zagadnieniami w ciągu 1300 lat, to lepiej niż ja jest on przygotowany do tego, aby nadal dawać sobie z tym radę. Wielki wezyr całkowicie podzielił mój pogląd i oświadczył, że żadne kłopoty natury rasowej czy plemiennej nie zakłócą spokoju w Maroku.

Następnie powiedziałem mu, iż niezmiernie ważne jest dla mnie, abym wiedział, co dzieje się w Hiszpańskim Maroku, a o ile mi wiadomo, wielki wezyr i sułtan mają co do tego lepsze informacje niż ktokolwiek inny. Wielki wezyr odpowiedział mi, że w Hiszpańskim Maroku mieszkają tubylcy niesłusznie zwani Arabami, którzy zawsze stanowili źródło kłopotów, i że sułtan postawi sobie za specjalne zadanie informowanie mnie, co te niewierne łajdaki i ich hiszpańscy władcy planują, a informacje te będą mi przekazywane jakbym był członkiem rodziny sułtana.

Powiedziałem mu następnie, że pomimo moich największych wysiłków niewątpliwie dojdzie do takich czy innych aktów gwałtu i chciałbym za każdym razem dowiadywać się o takich wypadkach możliwie najszybciej po to, aby sprawcy zostali przykładnie powieszeni. Wielki wezyr orzekł, że to jest świetna myśl i że powieszenie takich łajdaków niewątpliwie sprawi ogromną radość wszystkim Marokańczykom.

Rozmowa trwała około piętnastu minut. Na zakończenie wielki wezyr zapewnił mnie, że moja uprzejmość pozwoliła mu przeżyć najszczęśliwszy kwadrans w jego życiu, na co ja ze swej strony stwierdziłem, że jeśli dałem mu piętnaście minut szczęścia, to czuję, iż życie moje nie było daremne.

Wszystko to brzmi bardzo zabawnie, kiedy się o tym pisze, i musiało być jeszcze zabawniejsze wyrażone w mojej francuszczyźnie, ale właśnie taki rodzaj rozmowy Arabowie lubią.

Wielki wezyr dodał jeszcze, że trzeba rozmawiać z wielkim człowiekiem, aby w pełni zdać sobie sprawę z jego wielkości i że istnieje arabskie powiedzenie: ci, którzy twierdzą, że wszyscy ludzie są jednakowi – to albo głupcy, albo kłamcy; ale on i sułtan nie są ani głupcami, ani kłamcami.

„Fète des moutons" (święto owiec) w Rabacie

SZTAB ZACHODNIEGO ZGRUPOWANIA OPERACYJNEGO

19 grudnia 1942 roku

Sułtan zaprosił mnie, dowódców dywizji i czterdziestu oficerów na uroczystość w pałacu. Uważaliśmy, że eskortę honorową powinni dać Amerykanie. Zawiadomiłem więc generała Noguèsa, że przybędę na lotnisko o godzinie 2.15, dokonam przeglądu eskorty honorowej, którą stanowiła kompania 82. batalionu rozpoznawczego[16], następnie zaś udam się do siedziby rezydenta, aby zabrać generała i jego oficerów.

Generał Noguès jechał ze mną w samochodzie rozpoznawczym z otwartą górą. Obaj staliśmy. Eskorta honorowa zrobiła na ludności kolosalne wrażenie, czego dowodem były wznoszone przez Arabów radosne okrzyki, co słyszałem po raz pierwszy. Przy wjeździe na podwórzec pałacowy stała eskorta złożona z kompanii czołgów, baterii 105-milimetrowych dział samobieżnych i baterii 75-milimetrowych dział szturmowych z orkiestrą z 3. Dywizji.

Zatrzymaliśmy się przed frontem tych oddziałów, które sprezentowały broń. Orkiestra oddała zwykłe honory, odgrywając kolejno hymn marokański, francuski i amerykański.

Po tym udaliśmy się do pałacu, pozostawiając eskortę na zewnątrz. W pałacu odbyła się zwykła ceremonia z czerwoną gwardią. Powitaliśmy sułtana, który bardzo długo ze mną rozmawiał, wyrażając zadowolenie, że ja, jako przedstawiciel prezydenta i generała Eisenhowera, mogłem przybyć na najważniejsze polityczne i najważniejsze religijne święto jego królestwa. Ja ze swej strony dałem wyraz zadowoleniu, jakie, moim zdaniem, odczuwali prezydent i generał Eisenhower, że są reprezentowani na tej uroczystości; wyraziłem również pogląd, że ta szczęśliwa okazja stanowi jeszcze jedną ilustrację pomocy, jakiej Bóg udzielił naszej sprawie. Uważałem, że wzmianka o Bogu wobec sułtana jest trafieniem w sedno.

Promowano dwóch nowych kaidów, a kiedy to się skończyło, wyszliśmy przed pałac na trawnik długości boiska do gry w polo, lecz o połowę węższy. Trawnik ze wszystkich stron otaczali muzułmanie i kilku Francuzów.

Dla zaproszonych oficerów przygotowany był namiot, w którym ja, jako przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, zająłem honorowe miejsce.

Obok mnie siedział następca tronu, który powiedział mi doskonałą francuszczyzną, że ujrzę najbardziej porywające widowisko.

Porywające widowisko zrobiło klapę, ale poprzedzająca je ceremonia była bardzo ciekawa i barwna.

Po naszej lewej stronie znajdowali się główni przedstawiciele wszystkich dużych miast i plemion królestwa marokańskiego ustawieni, żeby się tak wyrazić, plutonami. Orkiestra czarnej gwar-

16 Podpułkownik P.A. Disney.

dii bez przerwy grała, a obok straży pałacowej stał pułk kawalerii, z czego połowa uzbrojona w lance.

Nagle z bramy pałacowej runął w naszą stronę tłum krzyczących Arabów w czerwonych fezach. Za nimi szło dwóch ludzi trzymających pionowo pięciometrowe lance. Po nich ukazał się sułtan w arabskim stroju na pięknym białym ogierze. Siodło i czaprak były z różowego jedwabiu; za nim szedł człowiek z olbrzymim parasolem.

Gdy sułtan się zbliżał, Arabowie wybuchali dzikimi wrzaskami, zagraniczni oficerowie salutowali, a kiedy doszedł do czoła kolumny „plutonów" delegatów miast, zatrzymał się; wtedy dwóch ludzi, każdy z jednej strony konia, dało znak białą chusteczką. Był to prawdopodobnie sygnał dla pierwszego „plutonu" obywateli, którzy trzykrotnie pochylili tułów i zaintonowali coś po arabsku. Po tych trzykrotnych skłonach żołnierze w czerwonych czapkach ruszyli na nich od tyłu i zepchnęli ich na bok, a cała procedura powtórzyła się z następną grupą i tak dalej z około dwudziestu kolejnymi „plutonami".

Orszak sułtana był bardzo interesujący. Sułtan powinien mieć siedem koni. Na jednym jechał, cztery zaś szły luzem, każdy okryty jedwabnym czaprakiem w odmiennym kolorze: żółtym, czerwonym, zielonym i purpurowym. Ponadto obok jechał złoty powóz, model chyba z 1400 roku, z wielkimi lampami w czterech rogach i z miejscem z tyłu dla dwóch lokajów. Powóz ciągnęły dwa konie prowadzone przez chłopców stajennych. W sumie było więc siedem koni wymaganych przez etykietę dworską sułtana.

Za powozem posuwał się wózek naładowany białymi pudełkami, za nim również obładowany pudełkami wielbłąd i na końcu muł z takimiż pudełkami. O ile mogłem dostrzec, pudełka były puste i miały widocznie symbolizować prowiant, jaki Jego Królewska Mość zwykł był ze sobą zabierać. Cała ceremonia oznaczała, że w zamierzchłych czasach sułtan co roku przemierzał swe królestwo i podróżował środkami, które nam pokazano podczas uroczystości. Przy bramie każdego miasta witali go ojcowie miasta, których teraz sprowadza się do pałacu dla powtórzenia ceremonii.

Po zakończeniu tej części uroczystości sułtan powrócił do pałacu i rozpoczęło się porywające widowisko, o którym mówił mi następca tronu. Brały w nim udział grupy złożone z trzech do dwudziestu konnych Arabów uzbrojonych w starodawne muszkiety.

Na dany sygnał jedna z grup wpadała na arenę, wykonując muszkietami różne ćwiczenia, z których jedno przewidywało wzniesienie broni poziomo nad głową lufą do przodu. Ale to był dopiero początek.

Następnie wywijali bronią na różne sposoby i w końcu usiłowali oddać strzał. Ponieważ jednak broń ta ma zamki skałkowe, wypaliło 30 procent, przy czym trzech czy czterech Arabów, którym się to udało, spadło z konia. A kiedy Arab, na ogół czcigodny Arab, pada – ,,och, co za upadek, mój krajanie" – w jedną stronę leci kapelusz, w drugą fruwają buty, rozsypują się dokoła sakwy i sakiewki, które nosi ukryte pod swą długą szatą. Przedstawienie zostaje wtedy przerwane, członkowie świty wsadzają go na konia i zbierają jego klamoty. Obejrzeliśmy takie wyczyny około trzystu Arabów.

Casablanca, 1 stycznia 1943 roku

Dzisiaj wczesnym rankiem przeżyliśmy pierwszy atak powietrzny. Wybuch trzech pierwszych bomb nastąpił około godziny 3.15 rano i zbudził mnie z najgłębszego snu. Skoczyłem na środek pokoju, zaciągnąłem zasłony na okno, narzuciłem coś na siebie i w ciągu pięciu minut znalazłem się na dachu.

Padał deszcz, wiał silny wiatr, pułap chmur był niski, około 900 metrów. Światła naszych reflektorów – było ich wiele, prawie tyle ile George[17] ma lat – migały, przesuwały się, wierciły dziury w chmurach.

Potem zaczęły szybko strzelać lekkie działa przeciwlotnicze pociskami smugowymi, które wyglądały jak robaczki świętojańskie. Trwało to około pięciu minut i nagle ujrzeliśmy potężny błysk,

17 Syn generała Pattona.

od którego rozeszły się długie, podobne do ośmiornicy ogniste macki; zwisały z nich świecące kule. Fajerwerk ten świecił jasnym płomieniem około dwudziestu minut, podczas których nic się nie wydarzyło.

Potem wyraźnie usłyszeliśmy samoloty; rozległ się huk ciężkich dział przeciwlotniczych, mających urządzenie pozwalające strzelać do samolotu, którego się nie widzi.

Zgiełk trwał, a wkrótce nad domem za nami pojawił się wielki, czterosilnikowy bombowiec nieprzyjacielski i natychmiast dostał się w zasięg dwóch reflektorów. Chyba wszystkie okoliczne działa przeciwlotnicze z miejsca zaczęły go ostrzeliwać. Pociski smugowe dosłownie obrysowały kontury samolotu; otoczyły go białe obłoczki wybuchających ciężkich pocisków, zamieniające się szybko w małe czarne chmurki. Chociaż bombowiec znajdował się na wysokości nie większej niż 700 metrów – a może właśnie dlatego – nie został trafiony; przynajmniej mnie się tak wydaje, bo niektórzy twierdzą, że go trafiono.

Słyszeliśmy warkot innych samolotów ukrytych w chmurach i od czasu do czasu wybuchy bomb. Przeleciał koło nas z wyciem tylko jeden odłamek; widocznie nasz dom nie leżał na linii spadających odłamków.

Podczas bombardowania rozesłałem oficerów w różne strony, aby zebrali informacje; przez cały czas przekazywali mi je telefonicznie. Jeśli chodziło o naszą obronę, to pracowała jak należy, nie miałem więc nic innego do roboty jak czekać i niepokoić się.

Około godziny za kwadrans piąta znów usłyszeliśmy za sobą bombowiec – również czterosilnikowy. Leciał jeszcze niżej niż tamten i znów otoczyły go smugi pocisków i wybuchy. Jestem pewny, że ten samolot został trafiony co najmniej dwukrotnie; znikł w kierunku Europy.

Zaraz potem usłyszeliśmy wycie bomb, które spadły w pobliżu baterii przeciwlotniczej, w odległości około kilometra na prawo od nas. Mój adiutant, porucznik A.L. Stiller, poszedł dowiedzieć się, gdzie spadła bomba i jakie były straty, ale nikt nie został raniony.

Wreszcie wszystko się uspokoiło; zdawało się, że nalot jest skończony, postanowiłem, więc wrócić do łóżka. Około godziny 5.30 rano rozległa się strzelanina, a ponieważ się nie rozebrałem, wróciłem na dach. Spadło kilka bomb, nasze działa i działa okrętowe otworzyły potężny ogień. Ładniej wyglądało niż podczas najpiękniejszego fajerwerku z okazji 4 lipca.

Bezpośrednio przed nami skrzyżowane smugi reflektorów złapały bombowiec na wysokości około 1500 metrów; pułap był teraz wyższy. Wokół samolotu rozrywały się pociski dział przeciwlotniczych; nagle spadł on na wysokość około 700 metrów, na co ze wszystkich stron rozległy się radosne okrzyki. Samolot jednak odzyskał równowagę i kontynuował lot, ale w odległości około pięciu kilometrów znów się zakołysał i opadł prawie do poziomu morza. Wyraźnie widziało się długi ogon dymu wydobywającego się z jednego lub dwóch silników. Bombowiec był chyba już wykończony, ale zanim runął do wody, znikł we mgle.

Gdy się tylko rozjaśniło, wyszedłem, aby obejrzeć leje po bombach i porozmawiać z żołnierzami. Byli zupełnie spokojni, a obsługa jednego działa, znajdująca się w odległości 50 metrów od leja, opowiedziała mi, że podmuch nawet ich nie przewrócił, tylko obsypał błotem i kamieniami.

Leje były wielkości średniego pokoju. Znaleźliśmy w nich mnóstwo odłamków bomb, które zebraliśmy, aby znaleźć numery seryjne. Szczęście nam dopisało i dowiedzieliśmy się, jaki był rodzaj bomb i zapalnika.

Chociaż bomb spadło niemało, ani jeden żołnierz nie został zabity, a tylko kilku było rannych. Arabowie mieli większego pecha. Jedna bomba zrzucona na pobliskie miasto zabiła więcej Arabów niż ja mam lat i wielu raniła. Posłałem paszy pismo kondolencyjne, które, być może, go zadowoli, ale nie przywróci życia Arabom.

Około godziny 10 zwołałem odprawę wszystkich lotników i oficerów z obrony przeciwlotniczej, aby omówić sposób obrony i wprowadzić konieczne poprawki. Uważaliśmy, że wszystko odbyło się zadowalająco, pożądane są jednak pewne zmiany. Wprowadziliśmy je teraz. Straty materiałowe: żadne. Bombowce jakby celowo wybierały otwarte pole albo środek ulicy. Ani jedna bomba nie spadła na port.

Kiedy ostatni bombowiec skrył się za domem, George Meeks[18] powiedział: „Panie generale, gdybym miał moje siodło, mógłbym na niego zarzucić i pojechać jak na koniu".

Wizyta sułtana w Casablance

12, 13 stycznia 1943 roku

Około dwóch tygodni temu wuj sułtana, zamieszkujący Casablankę, zapytał mnie, czy nie zechciałbym zwiedzić tam pałacu sułtana; powiedział mi przy tym, że chociaż sułtan gorąco pragnie być obecny podczas mojej wizyty, nie może jednak przybyć do Casablanki bez pretekstu. Postanowiliśmy więc zorganizować na jego cześć defiladę wszystkich rodzajów wojsk oraz wozów bojowych i zaprosić również Francuzów.

Cel tej defilady był dwojaki. Przede wszystkim chcieliśmy wywrzeć naszą potęgą wrażenie na Francuzach i Arabach, po wtóre zaś pokazując naszą siłę zetrzeć z Francuzów piętno poniesionej klęski, oczywistą rzeczą było bowiem, że swoją bronią nie mogli skutecznie przeciwstawić się naszej. Nie podkreślaliśmy faktu, że w czasie walk nie było jeszcze na lądzie naszego ciężkiego sprzętu.

10 stycznia po południu udałem się do pałacu sułtana, gdzie powitał mnie szef protokołu. Wkrótce przybyli inni oficerowie, między innymi kilku oficerów francuskich, i wprowadzono nas na audiencję. Mówiłem tylko ja, w myśl wskazań szefa protokołu, który spoglądał na mnie, abym rozpoczął rozmowę. Znów zaczęła się zwykła szopka: ja mówiłem do szefa protokołu po francusku, a on do sułtana po arabsku i odwrotnie. Mieliśmy eskortę honorową złożoną z kompanii lekkich czołgów, kilku francuskich żołnierzy piechoty na motocyklach i kilku żandarmów na motocyklach.

Sułtan z synem i z szefem protokołu wsiedli do pierwszego samochodu, generał Keyes i ja – do drugiego. W następnych wozach umieszczono dwunastu apostołów, którzy wszyscy, jak się dowiedziałem, byli wezyrami, w innych zaś znajdowała się reszta oficerów amerykańskich i francuskich. W sumie było około trzydziestu samochodów.

Plac defilady został pięknie przygotowany przez pułkownika Williamsa[19]. Przy każdym wozie bojowym stała prezentując broń jego załoga; przed wozem leżała amunicja dla wszystkich broni.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, odstąpiłem sułtanowi mój wóz dowodzenia i po odegraniu przez orkiestrę trzech hymnów narodowych pomogłem mu się przesiąść. Dał mi znak, abym usiadł koło niego. Generał Noguès, który mnie poinformował, że u boku Jego Królewskiej Mości nie jechał jeszcze nigdy żaden cudzoziemiec, zaprotestował przeciwko temu, lecz sułtan oświadczył, że to jego sprawa i mam z nim jechać, wobec czego zająłem miejsce po jego prawej stronie. Wówczas sułtan poprosił Noguèsa, by usiadł po jego lewej ręce, a następca tronu siedział z przodu trzymając się poręczy. Podobno był to pierwszy wypadek w historii, że cudzoziemiec jechał w jednym pojeździe z sułtanem.

Przejeżdżaliśmy bardzo wolno przed każdym wozem bojowym i w miarę swych możliwości dawałem wyjaśnienia, zwracając się po francusku bezpośrednio do sułtana, który mówi tym językiem lepiej ode mnie. Kiedy mijaliśmy samochód-pralnię, nie mogłem sobie przypomnieć odpowiedniego słowa francuskiego, powiedziałem więc: „Nie przypominam sobie, jak to się nazywa". Na to sułtan doskonałym angielskim językiem odpowiedział: „Ma pan na myśli samochód-pralnię?". W ten sposób się zdradził, że zna język angielski.

18 Ordynans generała Pattona.

19 Pułkownik J.J.B. Williams, dowódca artylerii Zachodniego Zgrupowania Operacyjnego.